Nr. 20. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. października 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, $^1/_2$ str. 50 zł $^1/_4$ str. 30 zł, $^1/_8$ str. 15 zł, $^1/_{16}$ str. 10 złp., $^1/_{32}$ str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

NR. 20. WE LWOWIE, 16. PAŹDZIERNIKA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

3. listopada, w dzień św. Huberta, odbędzie się o godzinie 9-tej msza św. przed ołtarzem Jego czci poświęconym, w kościele św. Elżbiety.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

(Ciąg dalszy)

Po zdaniu sprawy o dzialalności Prezydjum G. T. Ł. należy stwierdzić, że „Łowiec" aż do ostatniej chwili swego żywota, czasu Wielkiej Wojny t. j. do 31. października 1918 r., zadanie swoje spełniał w mierze wymaganej od wydawnictw fachowych pism myśliwskich, stojących na wysokim poziomie europejskiej kultury. Słowem: poruszał wszelkie sprawy i zagadnienia z dziedziny łowiectwa.

Ze względu, iż październikowy numer tego czasopisma, lwowska poczta zdołała doręczyć zaledwie członkom miejscowym, reszta zaś nakładu przepadła, — wyłania się potrzeba przytoczenia tu jego treści, celem obznajomienia z nią tych, którzy numeru tego nie posiadają.

Czytamy w nim z utworów A. Barthelsa istny klejnocik literatury myśliwskiej: „Tydzień Poleski"; St. Zaborowskiego porywająco - poetycką prozą opisane polowanie jego na głuszca p. t.: „Jak trubadur" *). Dalej Józefa Bartmańskiego satyryczne: „Obrazki myśliwskie z wojny"; Jana Drohojowskiego: „Wspomnienia z łowów czasu wojny; Władysława Krogulskiego: „Góry uralskie i step kirgizki"; podpisanego: „Szkic dziejów łowiectwa w Polsce", „Pilawin", „Niepodległa i zjednoczona". Pracę J. Sztolcmana: „Instynkt i inteligencja zwierząt". Artykuły rozmaitej treści: Dr. Wł. Burzyńskiego, Wacława Nowackiego, S. Cieleckiego, L. Starkiewicza, St. Fel. Rossowskiego, oraz przekłady tegoż z języków obcych. Poczem: „Kronika", „Korespondencje", „Kącik humorystyczny". Wkońcu: „Nekrologi", poświęcone cieniom: H. Tabaczkowskiego, A. Skrzyńskiego i St. Bromilskiego.

Niewdzięcznością byłoby nie wyrazić z tego miejsca rzetelnej podzięki tym — znakowi św. Huberta zawsze wiernym, którzy i ten ostatni numer „Łowca" z doby wojny — korespondencjami i sprawozdaniami swemi o wydarzeniach większej wagi zasilać nie omieszkali.

Oto oni — w porządku alfabetycznym:

Badeni Stefan, Balko Roman, Burzyński Władysław, C. C. G., Czarkowski-Golejewski Tadeusz, Graff Stanisław, Jaśkiewicz Stanisław, Kiełczewski Stanisław, Lewicki Włodzimierz, Łobos Wincenty, Łysakowski Leopold, Mals-

*) Przedruk z przedwojennego „Łowca Polskiego".

burg Henryk, Orski Stanisław, Piatyróg (!), Potocki Roman, Przedrzymirski Aleksander, Rosienkiewicz Jerzy, Sołowij Adam, Szerękowski Edward, Zbyszewski Kazimierz.

* * *

Okres powyższy dziejów G. T. Ł. zamykamy bolesnem, niestety, wspomnieniem, że w chwili właśnie kiedy łuna Wielkiej Wojny już dogasała, kiedy waliły się trony ciemiężców, a słońce wolności promienić nam poczęło, — nagle w kraj nasz nieszczęsny godzi cios straszny — Lwów zajmuje zbrojnie bratni nam naród — Rusini!...

I zapanowała gehenna!...

Historja się powtarza: znów udaremnioną została na czas dłuższy praca naszego Towarzystwa nad mozolnie rozpoczętą odbudową, wojną zniszczonego łowiectwa.

Wydawnictwo „Łowca“ siłą gwałtu, jak wiele innych czasopism polskich, ulega zawieszeniu. Nakład części wydrukowanego już listopadowego numeru, rękopisy, zapas znaczny papieru — „samowolci“ zniszczyli; czcionki wszystkie rozsypane, drukarnie albo pozamykane, lub obstawione wartą. Poczta unieruchomiona; zaczem wszelka łączność z członkami zamiejscowymi zupełnie zerwana. Zastój życia zapanował na całej linji pola pracy wszelakiej. Trwa to aż do czasu wyparcia Kainów ze Lwowa i z zajętych przez nich połaci ziem Małopolski wschodniej.

Rzecz jasna, że czasu tej gehenny działalność Towarzystwa ograniczoną została jedynie do podtrzymania nadal jego bytu.

Przedostawanie się do biura Towarzystwa równało się czynom bohaterskim; strzelanina bowiem „samowolciw“ grzmiała dniem i nocą na wszystkich ulicach miasta bezustannie. Strzelano rzekomo, jak to później kłamano: „jedynie dla postrachu, celem steroryzowania zuchwałych mieszkańców, oraz sprawdzenia w ten sposób, czy pogotowia mołojców czuwają“...

Podpisany, który trwał na posterunku sam jeden — bo sekretarz Rossowski tkwił na odcinku obrońców grodu — przemykając się tam przez ciżbę bzykających pocisków, spotykał się często także i z bagnetem „heroja“, skierowanym (uprzejmie) w brzuch i okrzykiem: halt! oraz pytaniem: Kuda?... — „Do domu idę, — chleb dzieciom niosę.*) — „Nazad! bo stryleju“! Poczem gruntowna następowała rewizja w poszukiwaniu „liwolwera“ i albo komenda: „nazad“! albo austrjackie „passirt“!

Tak się przedstawia stan rzeczy z onej piekielnej doby, zgotowany nam szatańskim wymysłem austrjackich polityków.

* * *

Po tym pamiętnym momencie dziejowym — z wszystkich czasu wojny dla sprawy odbudowy łowiectwa najfatalniejszym, — nowa w historji działalności naszego Towarzystwa pisze się karta.

I, co radośniejsze, że już nie pod wstrętnym tytułem: „galicyjskiego“, lecz

Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

* * *

*) Chleb pod pachą noszony był poniekąd glejtem.

C. d. n.

WITOŁD ZIEMBICKI

ALEKSANDER CHOLEWA UBYSZ

Pseudonim: Simplicjusz Gawin.

MYŚLIWY - GAWĘDZIARZ.

Wspomnienie. — Bibljografja.

Kazimierz Wodzicki, Aleksander Ubysz, Władysław Spausta, to trzy potężne filary literatury łowieckiej, wznoszące się wysoko ponad liczną rzeszę pisarzy, zgrupowanych około „Łowca“ w pierwszych dziesięcioleciach jego istnienia. Złote to były pióra. To też i okres ówczesny możnaby nazwać złotym okresem „Łowca“. Pierwszy wstąpił na jego łamy Wodzicki. Znany już zaszczytnie w całej Europie dzięki swym pracom ornitologicznym, ogłaszanym w fachowych czasopismach niemieckich, a w kraju wsławiony znakomitem dziełem „O sokolnictwie“ i nieśmiertelnemi „Zapiskami ornitologicznemi“, zaczął, obok innych prac, drukować w pierwszym roczniku „Łowca“ (1878) owe „Wspomnienia z życia łowieckiego“, tak później i dotąd poszukiwane i odtąd już zasila to czasopismo przez lat 12, to jest do roku 1889, roku swej śmierci. W dwa lata po pojawieniu się w „Łowcu“ pierwszych artykułów Wodzickiego, a więc w roku 1880 występuje na widownię Ubysz i zaraz pierwszą swa pracą pod tytułem „Chart“ zdobywa wstępnym bojem sympatje i uznanie czytelników. Pisze odtąd bez przerwy i obficie przez lat 11. Jeszcze w roku 1891, w rok po zgonie autora, drukuje „Łowiec“ artykuł jego z teki pośmiertnej. W roku 1889 pojawiają się w „Łowcu“ pierwsze prace Spausty, kiedy już milknie Wodzicki, a wkrótce ma umilknąć i Ubysz. Prace Spausty znowu odmienne otwierają w literaturze łowieckiej horyzonty, a kończą się niestety przedwcześnie, po latach dziesięciu, w roku 1898, kiedy i to trzecie wielkie pióro spoczęło na zawsze.

Działalność tych trzech pisarzy obejmuje więc w „Łowcu“ dokładnie lat 20, bo trwa od roku 1878 do roku 1898.

Rzecz charakterystyczna, że każdy z nich tworzył inaczej i pisał inaczej, dlatego też każdy z nich stanowi

w piśmiennictwie indywidualność odrębną. To mieli wspólnego, że wszyscy kochali namiętnie przyrodę uaszą i wszyscy obserwowali niezmordowanie jej najrozmaitsze przejawy. Ale wielki i oryginalny spostrzegacz, Wodzicki, utworom swym daje podkład przyrodniczo-filozoficzny; Spausta, erudyt, sięga w przeszłość i wchodzi na drogę przyrodniczo-historyczną; Ubysz, to co widzi i to co słyszy od innych, ubiera w szatę nieporównanej gawędy. Wodzicki odkrywa, Spausta kształci, Ubysz zajmuje.

Wodzicki zyskał należną sławę. Zdobycze jego przeszły do literatury naukowej i zostały utrwalone. Spausta jeszcze za życia doczekał się książkowego wydania jedynych w swoim rodzaju monografij, poświęconych wytępionym lub ginącym przedstawicielom polskiej fauny. Ale Ubyszowi grozi zapomnienie. Prace jego, drukowane przeważnie w „Łowcu“ i to w dawnych rocznikach, mało są dostępne młodym pokoleniom miłośników naszego łowiectwa i naszego piśmiennictwa, z żyjących coraz mniej osób pamięta Ubysza i zna wartość jego twórczości, powoli wygasa więc i pamięć o nim i nawet wiadomość, że istniał.

A jednak, ktokolwiek zapoznałby się z jego utworami, zrozumiałby, że tak być nie powinno. Zasługują one nietylko na przypomnienie, ale na zbiorowe wydanie.

Drgająca żywością słowa i barwnością obrazów gawęda Ubysza odznacza się niezwykłem bogactwem treści. Myśliwy znajdzie tam zwierzynę, psy, konie, łowców wielkich i małych, magnatów, strzelców, dojeżdżaczy, kłusowników, ich broń i sposoby; zobaczy łowy, jakich już niema, usłyszy trąbkę, jakiej już nie słychać; dowie się, jak znikąd mnóstwa rzeczy i dziś myśliwemu potrzebnych. Etnograf odkryje niejeden zwyczaj i obyczaj ludowy, z drobiazgową dokładnością opisany, odkryje strój, pieśń, gadkę, zabobon. Badacz języka będzie zdumiony obfitością nieznanych skądinnąd wyrażeń myśliwskich, gospodarskich i innych, porównań, przypowieści, zwrotów przysłowiowych, wierszy ludowych polskich i rusińskich. Fizjograf doszuka się niejednej pożytecznej wiadomości o ówczesnem ukształtowaniu tej lub owej okolicy. Przyrodnik niejednej wiadomości z ówczesnego życia naszej fauny. Nawet lekarz znajdzie temat dla siebie. Notując bowiem wszystko, nie pomija Ubysz nawet medycyny ludowej.

Ciekawą jest rzeczą, że Ubysz potomek rodziny szlacheckiej, wychowany w szlacheckich tradycjach i wraz z całą rodziną tradycjom tym zawsze wierny, odtwarza w swych gawędach niemal wyłącznie i to z prawdziwem upodobaniem typy ludowe. Co więcej. Piętnuje samowolę wielkopańską. Maluje więc n. p. w drastycznych barwach portret takiego Romanowskiego, właściciela Rzeczycy („Tanas“ Łowiec 1884) albo Kalinowskiego („Na Zielonej“ Łowiec 1885) albo Pawłowskiego („Kniaź kłusownik“ Łowiec 1886). Ale z jakąż lubością mówi o kulawym więc „Krywym“ Wasylu, urodzonym myśliwym-kłusowniku, który był mu przewodnikiem na bezbrzeżnych i bezdennych błotach („Na błotach bełzkich“ Łowiec 1882). Albo o takim prostaczku jak leśniczy Czajkowski („Na Zielonej“ Łowiec 1885) albo o takim arcymistrzu-dojeżdżaczu, jakim był powolny do czasu kaprysom Romanowskiego, Tanas („Tanas“ Łowiec 1884). Prosta i szczera natura Ubysza lgnęła widocznie do tych postaci, które stanowiły najlepszy łącznik między nim, a ukochaną przez niego przyrodą. Najulubieńszym dla Ubysza rodzajem łowów było polowanie z chartami. Jemu poświęcił obszerną monografję („Chart“ Łowiec 1880), do niego powraca ustawicznie i skreśla przy tej sposobności wzorowe lub dziwaczne typy dawnych charciarzy. Do takich oryginałów w swoim rodzaju należał n. p. Benedykt Jałowicki, przezwany dla swych dziwactw i natręctwa „Plagą podolską“ (Łowiec 1889). Nie zaniedbuje przy tem Ubysz z entuzjazmem opisywać innego rodzaju łowów, jak łowów par force na jelenia („Tanas“ Łowiec 1884), jak czynów myśliwskich takiego Józefa Tyszkowskiego („Myśliwi ziemi sanockiej“ Łowiec 1885) albo takiego Kazimierza Osuchowskiego (tamże), który to szedł jeszcze na niedźwiedzia z oszczepem, na dzika nie inaczej jak z kordelasem, a koncert myśliwski grał na dwu trąbkach naraz... W przedstawieniu dawnych postaci myśliwskich, wskrzeszaniu gasnącej tradycji łowieckiej Ubysz może być porównany tylko z jednym autorem, nie naszym, ale słynnym francuskim pisarzem, markizem de Foudras. Zapewne — innymi środkami dochodził on do celu, nie miał tej wysokiej kultury pisarskiej, jak tamten, nie władał tak wzorowym językiem, jak markiz de Foudras, ale mimo wszystko porównanie samo się nasuwa. I tu i tam mamy zbliżone nieraz do najdrobniejszych szczegółów wzory, i tu i tam wybija się na pierwszy plan kult dla świetnych tradycyj łowieckich i tu i tam mamy przedstawicieli świata łowieckiego z tak najrozmaitszych sfer się rekrutujących, że nawet i ksiądz jest między nimi i zakonnik, jest także kobieta. U markiza de Foudras kobieta występuje może nazbyt często i dokazuje może zbyt wielkich cudów myśliwskich. Ubysz jest pod tym względem skromniejszy. Ale za to postać niewieścia odznacza się u niego niesłychaną prostotą i prawdziwością. (Pamiętnik babci w jednej z najlepszych prac Ubysza: „Marcinek“ Łowiec 1890). Jednego tylko brak zupełny u Ubysza, co natomiast przewija się wciąż przez powieści markiza de Foudras: to jest pierwiastku erotycznego. Ale ten przyniósłby obrazkom Ubysza tylko szkodę.

Nadzwyczaj cenne są notowane przez Ubysza wiadomości o rozmieszczeniu niektórych gatunków zwierząt i ptaków. N. p. o jeleniach, o dropiach, o żurawiach Za jego czasów gnieździła się na „Błotach bełzkich“ pospolicie biała czapla. Żył jeszcze wtedy człowiek, który pamiętał na tych błotach bobry („Na błotach bełzkich“ Łowiec 1882, str. 43). Ale jeżeli w czem jest Ubysz mistrzem wprost niezrównanym, to w używaniu gwary myśliwskiej, niemniej jak gwary ludowej w rozmaitych przedmiotach, dalej w umiejętności posługiwania się przysłowiami. Jego wszystkie prace są pod tym względem istną skarbnicą. Dzięki jego feno-

menalnej, swoistej, rzec można, pamięci i łatwości reprodukowania à propos, prawdziwe perły humoru i lapidarnych zwrotów zachowały się w jego pismach ku wiecznej pamięci i zostały uratowane w ten sposób od zatraty. Wydobycie ze spuścizny Ubysza tych szczegółów, czy to z zakresu gwary myśliwskiej, czy to z punktu widzenia językowego, czy wreszcie przez wzgląd na tlące w spiewkach, wierszach i przysłowiach pierwiastki myśli ludowej, godne byłoby specjalnego studjum. Jestem przekonany, że dopiero w tem oświetleniu wyszłaby naprawdę na jaw głęboka wartość pism Ubysza.

Aleksander Ubysz nie posiadał gruntownej nauki. Parę razy czyni sam żartobliwe aluzje w tej materji. I tak na czele pracy „Na błotach bełzkich“ (Łowiec 1882) umieścił jako motto wiersz:

„Nie wierz księgom — inna wiedzie
Do mądrości droga.
W księgach słyszysz głos człowieka,
W przyrodzie — głos Boga!“

Gdzieindziej znowu („Jeleń“ Łowiec 1881, str. 73) cytuje dwuwiersz:

„Kiej mi licho z gospodarza,
Co gazduje z kalendarza“.

Z przedmiotem swoim wszakże był nietylko obeznany, ale był w nim także oczytany. Piśmiennictwo łowieckie i jego pomniki znał doskonale. Kilkakrotnie dał tego dowody. Inaczej nie byłby mógł napisać takiej pracy, jak: „Kilka słów o myślistwie dawnem i teraźniejszem“ (Łowiec 1887). Pracę tę można śmiało zaliczyć do prac z zakresu historji łowiectwa. W sposób, świadczący o własnem zdaniu, mówi tam między innymi o Bielawskim („Myśliwiec“ 1595), o Cygańskim („Myślistwo ptasze“ 1584), o Ostrorogu („Myślistwo z ogary“ 1618) i o Sarbiewskim („Sylviludia“ na cześć polującego Władysława IV.). Na uznanie zasługuje z tegoż zakresu (historycznego) próba objaśnienia nazwy: „Psy neapolitańskie“ (Łowiec 1887). Nie mając gruntownego przygotowania przyrodniczo-naukowego zapuszczał się może nieraz zbyt śmiało w teren zbyt trudny, jak n. p. podział psów na rasy i ich geneza, czemu dał wyraz w „Charcie“ i co powodowało sprzeciwy i polemikę, ale bądź co bądź dawał w tych wypadkach dowód nie zarozumiałości, ale skłonności do samodzielnego myślenia i rozwiązywania nasuwających się z obserwacji problemów.

Wspomniałem, że w bogatej treści opowiadań Ubysza znajdują się wiadomości, interesujące zwolenników najrozmaitszych gałęzi wiedzy i że nawet lekarz wydobędzie stamtąd niejeden ciekawy szczegół. Do takich należy n. p. interesujący opis pijawkarni czyli hodowli pijawek na export („Na błotach bełzkich“ Łowiec 1882, str. 117), albo wzmianka o ukąszeniu żmij (ibidem str. 87), oraz o ludowym sposobie leczenia pokąsanych ciężko przez pszczoły lub osy, zapomocą okładów z posiekanej i pogniecionej naci pietruszkowej. („Na Zielonej“ Łowiec 1885, str. 192), albo n. p. wiadomość o „febrze“, panującej w Galicji w r. 1847, której padł ofiarą i Ubysz, mający wówczas lat 14. („Zając lekarzem“ Łowiec 1890). Prawdziwość tego szczegółu można łatwo skontrolować. Istotnie w owych czasach panowała w pewnych okolicach naszego kraju stale (endemicznie) zimnica, czyli malarja, zwana pospolicie „febrą“. Do nawiedzonych należała właśnie okolica, w której Ubysz często bywał t. j. ziemia bełzka i sąsiednie. Powodem tego były bagna, ojczyzna komarów, przenoszących, jak wiadomo, zarazki zimnicy na człowieka. Takie powiaty jak cieszanowski, rawski, żółkiewski, jeszcze w r. 1897 miały 6·8% bagien i moczarów w stosunku do całej powierzchni, a powiat sokalski 7·8% należał więc do najbardziej bagnistych w całym kraju[1]). W pewnych latach choroba przybierała charakter gwałtownej epidemji i stawała się bardzo złosliwą, podobną do febry krajów podzwrotnikowych. Takiej to postaci uległ Ubysz, jak wynika z jego opisu. Chinina wtedy mało jeszcze była u nas stosowaną. Cierpiał więc rok cały. Wreszcie ojciec zmuszony był zabrać go ze szkół i umieścić na wsi (w Kamienopolu). To prawpopodobnie podziałało zbawiennie, chociaż wedle przekonania Ubysza wyleczyła go improwizowana bo przypadkowa gonitwa piesza (sic !) za chartami i zającem. Stąd obrazek: „Zając lekarzem“. Dlatego też w nagłówku tego obrazka umieścił Ubysz tę starą sentencję:

„za doktorów się ludzi udaje niemiara:
ksiądz, mnich, prostak, żyd, kuglarz,
[balwierz, baba stara“.

Zwrócone to było w szczególności do niejakiego Combi, lekarza Włocha, (stacjonowanego we Lwowie z pułkiem piechoty), do którego poczciwy Ubysz nie miał absolutnie zaufania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Dr. Grossek. Zimnica w Żółkiewszczyźnie. Lwowski Tygodnik Lekarski 1912. p. 477.



Z KARPAT

Myśliwi nasi powrócili z gór pod bardzo miłem wrażeniem. Stan jeleni wydatnie się podniósł. W niektórych rewirach karpackich dochodzi on już do stanu z przed wojny światowej. W Skolszczyźnie ryczało tej jesieni 197 byków. Lat temu jeszcze dwa ilość ryczących tam byków nie przekraczała setki. Ale nietylko liczebnie stan szlachetnego zwierza podnosi się z roku na rok w naszych górach. Jakościowo, sądząc z trofeów w wieńcach przez naszych szczęśliwców po wojnie w Karpatach rokrocznie zdobywanych, przedstawia się imponująco. Na ten dodatni fakt wpłynęły — mojem zdaniem — dwie okoliczności, spowodowane światową wojną: Po pierwsze, że byki opuszczały przed zgiełkiem wojennym swe rodzinne pielesze w naszych górach i przenosiły się na południowe stoki węgierskich wtedy Karpat, gdzie z dala od walk toczących się w górach, mogły żyć spokojnie, a w dobie powojennej powróciły one do nas i dziś są znakomitymi regenatorami zniszczonego zwierzostanu. Po drugie, że kłusownictwem wojennem spowodowany znaczny ubytek łań, których było za wiele, spowodował daleko normalniejszy stosunek płci do siebie, dzięki któremu i najstarsze byki podczas rykowiska muszą, dla pozyskania łań dla siebie, okazywać więcej ruchliwości i inicjatywy, przez co łatwiej przez myśliwych mogą być spotykane lub wysłuchiwane.

I dlatego co roku teraz prawie skarbnica karpacka wyrzuca ze swego wnętrza jakąś bezcenną perłę, którą św. Hubert pozwala podnieść swemu wybrańcowi.

Taka w tym roku przypadła w udziale ks. Olgierdowi Czartoryskiemu w „Sadkach" koło Zielenicy w Gorganach. Jest nią wieniec nieregularnego 12-taka wstecznika, imponującej grubości pni (po 20 cm), rozpięciu 129 cm, 124 cm wysokości i zwyż 12 kg wagi. Wspaniała zdobycz myśliwska! Sędziwy bardzo był to byk, co ten wieniec dźwigał. Drugim z kolei, co do potęgi, z tego, co słyszałem, jest 9 kilowy 18-tak, ubity przez ks. Hieronima Radziwiłła na Parenkach w Perehińsku.

Na Pisze koło Tatarowa ubił dobrego byka Franc. hr. Zamoyski. W Polanicy w Bieszczadach padły dwa poważne byki z rąk Jerzego hr. Potockiego i hr. Szecheny'ego. W Skolem padło 8 byków, w Sołotwinie Mizuńskiej 3, z których 2 ubite przez Adama i Zygmunta hr. Zamoyskich. Adam Bielski wplótł do swego myśliwskiego wieńca pierwszy złomek jodłowy, umaczany w farbie ubitego przez siebie 16-taka w Worochcie. Tamże ubił St. Kiełczewski 12-taka. W Komańczy u hr. Potockiego ubito 3 byki, z których 12-aka ubił Jan hr. Plater. W Cisnej padło 5 byków.

Niedźwiedzi padło, o ile mi dotąd wiadomo, trzy: w Perehińsku grubego niedźwiedzia ubił Józef Jabłonowski, w Wełdzirzu ubił niedźwiedzia Stanisław Burzyński, tamże małe ponoś niedźwiedziątko ubił hr. Aponyi.

To są tylko rezultaty, o których dotąd dowiedzieć się mogliśmy; padło z pewnością jeszcze kilka jeleni w roku bieżącym w Karpatach, o których nas dotąd wieści nie doszły. Liczyć napewno możemy ubitych byków na tegorocznem rykowisku na jakich 40 sztuk.

A wielu, wielu łowców powróciło z Karpat bez wieńca jeleniego, nie — że nie mogli go zdobyć, lecz że chcieli zdobyć tylko trofeum godne polskiego myśliwego.

Cześć Karpatom! Zdobne dzisiaj szczodrze czarownemi barwami jesieni, szumią one hymnem na chwałę naszego łowiectwa!

Z nich wpływa w dusze nasze potężny zew przyrody, instynkt myśliwski, tętni nim serce, pracuje mózg pod urokiem królewskich łowów i mocarnych wrażeń, W rewirach karpackich łowiectwo polskie stroi swe skronie rokrocznie nowemi liśćmi wawrzynu.

Cześć świętemu Hubertowi po wszystkie wieki! Cześć małopolskim myśliwym, co swą pracą potrafili przez lat dziesięć zwalczać wszelkie trudności, jak rozwielmożnione wojną kłusownictwo i plagę wilczą i wstrzemięźliwością dyktowaną im przez wysoką etykę łowiecką stworzyli dzisiejszy chlubny poziom karpackiego zwierzostanu.

Cieszy się z tego stary „Łowiec", cieszy się stary kronikarz małopolskiego łowiectwa, że swem nieudolnem piórem opiewać może znów zmartwychwstającą chwałę polskich Karpat.

A. M.



ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

O „dołach“ i rysiu słów kilka

Przypuszczałem, że po ukazaniu się mego artykułu p. t. „Mea culpa“ w n-rze 17. „Łowca“, uznają go wyznawcy i obrońcy „dołów“ za wystarczające zadosyćuczynienie naruszonej rzekomo przezemnie czci kniej nizinnych, popełnione bez złej mojej woli w artykule „Morituri“ w n-rze 11. tegoż pisma.

Tymczasem staje w szrankach nowy rycerz „dołów“, wielce szanowny pan Teodor Tołłoczko, posądzając mnie o daleko sięgające postponowanie „dołów“.

Tej intencji nigdy nie miałem, a jeżeli coś na „dołach“ nie stawiam na piedestale, to chyba ową kategorję myśliwych, którą sam Szan. Autor nazywa „wirtuozami uprawiającymi z zamiowaniem pseudopolowania i pukaninę do zajęcy“ (vide artykuł Szan. Autora „O rysiu“ w n-rze 18. „Łowca“). Pod tym względem jesteśmy zupełnie zgodni, a gdy Szan. Autor przeczyta moje credo o „dołach“, zawarte w powołanym na wstępie artykule, to niewątpię, że zmieni swoje zdanie o moim braku szacunku dla „dołów“.

Poglądy nasze jednak poczynają się rozchodzić, gdy mowa jest o rysiu i jego zwyczajach.

Nie odważam się polemizować z Szan. Autorem artykułu o „Rysiu“, gdyż moje bardzo szczupłe doświadczenia w tym przedmiocie są do takiej polemiki najzupełniej niewystarczające, zazdrościć tylko mogę Szan. Autorowi, że miał tyle sposobności stykania się z rysiem i częstego wygrywania „wielkiego losu“.

Ograniczę się więc tylko do podania poniżej spostrzeżeń innych myśliwych i badaczy, z którymi bądź osobiście, bądź też w literaturze łowieckiej się zetknąłem, a które nie zupełnie pokrywają się z spostrzeżeniami Szan. Autora, być może dlatego, że zebrane były w odległych bardzo od siebie krainach.

Pierwsze moje dane o rysiu i pierwsze moje polowanie w kniejach, gdzie ryś nie był rzadkością, zawdzięczam śp. panu Lipińskiemu, lustratorowi i zarządcy lasów rządowych położonych na bardzo już wybitnem podgórzu karpackiem w okolicy Chyrowa i Starego Sambora w Małopolsce.

Wówczas w ostatnich trzech dziesięcioleciach XIX. wieku wystąpiły w zarządzie Starzawskim rysie w znaczniejszej liczbie i zniszczyły prawie doszczętnie bogaty dawniej stan sarn w tych lasach.

Śp. p. Lipiński stary kawaler, miał w chwili, gdy go poznałem, już około 70-ciu lat i mieszkał wraz z dwiema, również podeszłemi siostrami w Starzawie. Był to myśliwy w najlepszem znaczeniu tego słowa, prawdziwe powtórzenie pana Paska, gdyż oprócz przebogatej psiarni, oswojonego wilka i lisa, miał także, jak pan Pasek — i oswojoną wydrę, a wszystko to chadzało wolno, a dzik (samura) uczestniczył nawet w polowaniach, na których padali jego współplemieńcy, a dla odróżnienia od dzikich pobratymców i jako asekurację swego życia nosił na sobie rodzaj czapraka.

Gdy pierwszy raz wczesnym rankiem wyjechałem na polowanie do Starzawy, konie moje spłoszyły się w bramie i ledwie sań nie połamały, gdyż pod poddaszem naprzeciw leżącej szopki wisiały zgodnie ryś, wilk

---

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory w Niepołowicach

(Łowy turze)

(Fragment)

Na skraju Niepołomickiej Puszczy, hen od Wisły przy drodze do Woli Batorskiej, stała niegdyś drewniana leśniczówka. Bielone jej ściany znaczyły się jasną plamą na tle ciemnej zieleni odwiecznych świerków. Małe okna i ganek osłaniały bujne sploty powoju, nadając tej cichej ludzkiej siedzibie piętno dziwnego smętku, ale zarazem i urok swoistego zakątka.

Przed oknami kwitły kolorowe astry, te lube dzieci późnej jesieni, zbratane z niską, skromną rutą i z trzymającą się jeszcze dziarsko — strzelistą malwą. Inne kwiaty już przekwitły i leżały zwiędłe i suche na grządkach...

Niski, palikowy płot odgradzał ogródek od obszernego zajazdu, zamykając sennym astrom widok na świat szeroki... I tylko ruta, jako że była ciekawa, przedzierata się poprzez otwory ogrodzenia i patrzała ukradkiem żółtemi oczkami na podwórzec i tylko malwa, jako że była wysoka, spoglądała ponad płot daleko aż na drogę, biegnącą białym szlakiem przez bór.

Naraz drzwi domku odchyliły się cicho i wyjrzała na drogę postać niewieścia. Była młoda i tak piękna, że nawet słońce, które już dobrze zeszło z południa, uderzone widokiem dziewczyny, wyszło z poza chmury i zatrzymało się na chwilę w pochodzie, aby się przypatrzyć cudnemu zjawisku.

...Justyna Pisankówna była córką leśniczego i gosposią jedyną w białym dworku. Obcisłe, barwne szatki obejmowały z lubością jej smukłą, zgrabną figurę, uwydatniając wszystkie powaby ciała. Patrzała sarniemi oczami na drogę, odgarniając miękkim ruchem ręki, spadające na czoło i oczy bujne loki hebanowych włosów. Kogoś wyglądała, na kogoś czekała...

Snadź chwilę trafnie wybrała, bo wzrok jej radośny padł właśnie na człowieka, zdążającego spiesznie ku leśniczówce.

Pochylony, z rusznicą, przewieszoną przez plecy, z twarzą zarumienioną od chodu, wszedł żwawym krokiem ojciec Justyny na ganek.

Na okolonej, bujnym, siwym zarostem — dobrej jego twarzy, igrał uśmiech i widać było niezwykłe podniecenie.

„Justyniu, rzekł stary, witając córkę przyjaznem spojrzeniem — przyjeżdżają dzisiaj do nas goście... Ale jacy!... ani domyślić możesz... Oto przed chwilą otrzy-

i pięć czy sześć dzików, między któremi dwa olbrzymie odyńce. Był to rozkład z przed paru dni, z polowania odbytego w jednym z rewirów starzawskich. Nawiasem dodam, że ryś ten ważył 26 kg i dopiero wtedy dowiedziałem się, że do takich rozmiarów dorastać może. Działo się to w 1889 roku.

Byłem w ciągu lat kilkakrotnie w Starzawie. Polowano z psami. Rysie były zawsze w rozległych rewirach, sam do strzału do rysia nie doszedłem nigdy, lecz przeżyłem dużo nieopisanych wzruszeń, gdy stałem z bronią w ręku przed miotem, w którym ogary goniły rysia i z bijącem sercem czekałem tego „wielkiego losu“.

W naiwności mojej dziwiłem się, dlaczego ryś przed psami nie umyka kocim zwyczajem na drzewo, lecz wodzi je godzinami po górach. Ale p. Lipiński wytłumaczył mi odrazu, mówiąc, że ryś z chwilą pójścia na drzewo byłby zgubiony, bo psy głosem zdradziłyby jego kryjówkę i nie byłoby żadnej trudności w zestrzeleniu go z jodły czy z buka. W Starzawskich borach padały rysie w owym czasie corocznie czasem po kilka, a pan Lipiński stykając się z niemi przez długie lata, znał ich zwyczaje na wylot.

Byłem początkującym myśliwym, rysia — zgodnie z legendą drukowaną i malowaną — wyobrażałem sobie zawsze na drzewie czatującego na przechodzącą zwierzynę i spadającego stamtąd na grzbiet kozła lub jelenia. Te moje wyobrażenia sprostował p. Lipiński, twierdząc, że ryś poluje na piechotę, jak kot, że na drzewa wogóle rzadko wyłazi, a jeżeli to kiedy czyni, to wybiera drzewo pochyłe lub spiętrzone wiatrołomy, aby na nich odbyć siestę i słoneczną kąpiel. Na drzewa — jego zdaniem — chroni się także, gdy jest ranny i gdy dłużej już przed psami chodzić nie może.

W ciągu lat tropiłem sam rysie kilkakrotnie, nieraz pojedyńczy trop rysia dzielił się naraz na dwa a nawet trzy oddzielne tropy, by po kilkudziesięciu krokach zejść się znowu w jeden jedyny trop, z którego niktby nie poznał, że przeszło nim kilka rysi. Bardzo często trop wiódł po leżących kłodach — a nawet po takich, które upadlszy, wsparły się, jak na kobylnikach, na własnych konarach i wisiały na jakie półtora metra nad ziemią. Tropu rysia wiodącego na stojące prostopadle drzewo nie udało mi się spotkać nigdy, choć miałem do czynienia z bardzo przez psy naciskanemi osobnikami — nie chcę twierdzić, żeby to się nie miało wogóle zdarzać — dowodzi to tylko, że małopolski ryś nie zbyt chętnie i często wspina się na drzewa.

A teraz posłuchajmy obcych myśliwych.

W dziele *„Die Hoche Jagd“*, wydanem w 1905 r. w Berlinie przez księgarnię Pawła Parey'a, opowiada na str. 661. znany myśliwy siedmiogrodzki, kapitan Spiess, który przez lat kilkanaście u schyłku ub. i z początkiem XX. wieku polował w tamtejszych górach, o rysiu, co następuje:

„Wysokie łapy rysia ułatwiają mu dalekie skoki, przy pomocy których rzuca się z ziemi na kark większych zwierząt; w razie nieudanego skoku nie goni dalej uchodzącej zdobyczy. Ryś może wprawdzie wdrapywać się na drzewa, ale obcemi mu są zamiłowanie i zręczność w takich ćwiczeniach, do których ucieka się tylko z razie ostatecznego niebezpieczeństwa, gdy jest przez psy i ludzi osaczony. Zresztą

---

małem wiadomość, że sam król Jegomość tu przybywa na polowanie. Musimy go godnie przyjąć! Przygotuj jadło! Mamy wszak dość wędlin i beczkę miodu w piwnicy. Z królem przyjeżdza kilku dostojnych panów, a że pewnie zatrzymają się dłużej, więc i o nich pomyśleć musimy!“

„Dobrze, ojcze, rzekła dziewczyna, krzywda im się nie stanie!.. Pamiętasz, kochany rodzicu, jak sobie chwalili gościnę u nas przed rokiem!“

Zakrzątała się pracowicie i wnet dymiły na stole, przykrytym białym jak śnieg obrusem, smaczne potrawy.

Zasiedli oboje do obiadu.

W obszernej świetlicy panował półmrok, bo kwiaty na oknach broniły wstępu promiennym grotom słońca. Mimo to widać było wszędy czystość nienaganną. Ściany, niedawno bielone, aż jaśniały świeżością. Pułap jodłowy świecił kolorem złota.

Dokoła ścian stały rzędem niskie ławy. Górą wisiały jedne przy drugich, majone kwiatami, obrazy Świętych, a pod jednym z nich, przedstawiającym Ukrzyżowanego, paliło się światło...

Bywało, że całemi godzinami klęczała przed świętą ikoną dziewczyna i modliła się żarliwie o zdrowie dla ojca i o niebo dla zmarłej przed laty macierzy...

Nad drzwiami, prowadzącemi do sieni, wisiały potężne łopaty łosia. Inne drzwi, w połowie odchylone, prowadziły do dalszych komnat.

* * *

Drogą od Krakowa posuwały się szybko trzy pojazdy Piękne tureckie konie, zaprzężone po cztery do każdego, rwały wyciągniętym kłusem. Rasowe ich ciała pokrywała biała piana.

Wozy, dobrze wymoszczone, zaścielone barwnemi kobiercami, świadczyły o dostojeństwie jadących. Jakoż na pierwszym jechał sam Batory w towarzystwie przyjaciela i powiernika swego, pana Jana z Zamościa, na drugim rozsiadł się wygodnie Imci pan Heidenstein, sekretarz króla i pan Chybicki, wielki łowczy, wiozący rynsztunek myśliwski, i pan Służewski Jan, na trzecim trzymano psy gończe z nieodstępnym ich władcą i opiekunem, grubym, zawsze uśmiechniętym Jakóbem, Niemcem, przysłanym królowi z dobrą prezentacją przez księcia kurlandzkiego. Gottharda Kettlera, znanego ze znakomitych rządów, z wierności dla Rzeczypospolitej i sławnego ze swych polowań.

Wielki król skorzystał z kilku dni wolnych od zajęć i wymknął się do Niepołomickiej kniei, by zapolować na tury, chowane tam dla niego.

wdrapuje się na pochyłe pnie i na grube, śniegiem przygięte gałęzie, by tam wygrzewać się do słońca, **nie** poto jednak, aby stamtąd czatować na przechodzącą zdobycz“.

Tyle kapitan Spiess z Siedmiogrodu, a teraz posłuchajmy, co w tem samem dziele opowiada drugi znakomity myśliwy baron Molcken o inflanckim rysiu na str. 673, na której czytamy:

„Ryś wydaje mi się dostatecznie dobrym strategikiem, by dbać zawsze o zabezpieczony odwrót, nie idzie też (goniony) na drzewa, bo wie dobrze, że w takim wypadku byłby ten odwrót zagrożony“.

Z całej serji spotkań z rysiami notuje br. Molcken tylko jeden wypadek wdrapania się rysia na drzewo przed psami, jedyny wypadek, jaki obserwował w ciągu swej długiej działalności łowieckiej.

Z powyżej przytoczonych spostrzeżeń wynikałoby, że nie ja jeden odnoszę się z sceptycyzmem do akrobatycznych sztuk rysia i że używanie przez niego drzew, jako łowieckiej platformy operacyjnej nie jest regułą, a tylko sporadycznym wypadkiem.

Że takie wypadki rzeczywiście się wydarzały na Polesiu i w okolicach Wołogdy, dowiadujemy się z nadzwyczaj interesującego artykułu p. T. Tołłoczki, którego spostrzeżenia o rysiu są bardzo cennem uzupełnieniem monografji tego drapieżnika.



Zielona trzydniówka Wielkopolskiego Związku Myśliwych

W sobotę dnia 8-go września b. r. zagaił prezes ppłk. rez. Konstanty Chłapowski zieloną trzydniówkę Wielkopolskiego Związku Myśliwych na sali Wielkopolskiej Izby Rolniczej, rozpoczynającą się dorocznem Walnem Zebraniem, witając przybyłego w zastępstwie Pana Wojewody p. Radcę Radońskiego, p. Generała Raszewskiego, p. Radcę Przybylskiego Prezesa Związku Zawodowych Leśników oraz obecnych braci z pod znaku św. Huberta, poczem przedłożył program zielonej trzydniówki.

Przed rozpoczęciem obrad uczciło zebranie przez powstanie zmarłych członków Związku: śp. hr. Krzysztofa Mielżyńskiego członka Zarządu, Juljana Kiedrowskiego, Macieja Kaczorowskiego, Feliksa Wizego oraz Romana hr. Sokolnickiego, a następnie zdał prezes sprawozdanie z działalności Zarządu za rok ubiegły wyrażając zadowolenie z powodu rozkwitu Związku względem ilościowym członków oraz wzmagającem się zainteresowaniu władz dążeniami Związku. W dalszym ciągu podkreślił urządzony ostatnio przez Związek Premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych w Iwnie, który dał dowód, że i również na tem polu zaczyna się dzięki usilnej agitacji ze strony Związku budzić coraz to większe zainteresowanie. Zarazem nadmienił, że podjęta przez Związek akcja sprowadzania żywych zajęcy z zagranicy dla odświeżenia krwi dala bardzo pożądany skutek, ponieważ sprowadzonych zostało do Wielkopolski prze-

---

Przybył niedawno do Polski ze swojej pięknej, węgierskiej ojczyzny, w której mu dobrze było i wdział koronę Jagiellonów, tak ciężką i tak trudną do noszenia, że jego poprzednik aż się ugiął pod jej ciężarem i uciekł...

Związany z królową Anną, lat dziesięć od niego starszą i ułomną, nie mógł u jej boku znaleść żadną miarą ni miłości, ni ciepła, ani marzyć o potomstwie.

W konwencjonalnym, chłodnym stosunku nie znalazło jego męskie serce nijakiej radości życia, a umysł żadnej podniety.

Ale że miał król Stefan jedno umiłowanie, i jedną wielką pasję, której hołdował namiętnie przez całe życie, że był zapalonym myśliwym i że znalazł u nas właśnie najpomyślniejsze warunki dla uprawiania łowiectwa, więc pogodził się ostatecznie ze swoim losem i czul się względnie szczęśliwym.

O tem króla zamiłowaniu wspomina niekiedy i Heidenstein, jego najbliższy towarzysz, a później dziejopis, ale pisze o niem mimochodem tylko, przygodnie, zajmując się więcej pracą państwowo-twórczą swego władcy a najchętniej jego wojnami, które ze znawstwem i z zachwytem opisuje.

W obszernem dziele swojem „Rerum Polonicarum libri XII.“ w księdze III-ciej tak pisze o królu: „Vilna inde Grodnam movet, ubi venationibus, quo uno voluntaris labore et aliis laboribus maxime reficere se solet, dies aliquot dat...“

To króla zamiłowanie odpowiadało zresztą jego dzielnej naturze, harmonizowało z jego rycerskiem usposobieniem i było fizyczną potrzebą jego ruchliwego żywota.

Władca tej miary nie umiał zwyczajem swego poprzednika szukać zapomnienia wśród dusznego powietrza zamkowych komnat, lub wśród dam dworu i pałacowych zauszników, pojmujących na swój sposób wartość i używanie życia.

On znachodził prawdziwą rozrywkę tylko w trudach rządzenia, na które codziennie natrafiał, lub w kniei na łowach wśród dzikiej przyrody. W poszumie drzew odwiecznych koił zmartwienia, których mu życie nie skąpiło i czerpał ochotę do nowych, coraz to innych prac twórczych. W upędzaniu się zaś za dzikim zwierzem szukał podniety do czynów wojennych.

Na sam widok puszczy już uśmiechała się piękna, okolona bujnym zarostem, twarz króla, jaśniało na niej szczęście, cieszyło się nią chrobre jego serce, rosła jego dusza nadzieją, że znowu przeżyje kilka chwil górnych, niezapomnianych...

szło 3000 żywych zajęcy. Pod koniec swego sprawozdania podał prezes Walnemu Zebraniu do wiadomości, że pertraktacje z Dyrekcją Powszechnej Wystawy Krajowej w sprawie urządzenia przy tejże w roku 1929. Powszechnej Polskiej Wystawy Łowieckiej zostały ukończone i, że odbycie jej ostatecznie zostało już zadecydowane.

Po złożeniu referatu kasowego i Komisji Rewizyjnej udzieliło Walne Zebranie ustępującemu Zarządowi jednogłośnie absolutorjum. Propozycję Generała Raszewskiego dot. wyboru Zarządu przyjęło zebranie oklaskami powołując ustępujący Zarząd do dalszej pracy na trzy lata. Do Zarządu weszli jako prezes ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, I. wiceprezes p. Franciszek Unrug, II. wiceprezes p. nadleśn. Tadeusz Metzig, sekretarz por. rez. Władysław Kostro, skarbnik p. Henryk Górski, Ignacy hr. Mielżyński, Ordynat Jan Taczanowski, Kazimierz Gozimirski i Jan Pętkowski.

Prócz tego weszli do Zarządu, jako nowi członkowie, przedstawiciele leśników państwowych i prywatnych p. nadleśn. Stanisław Woszczyński i p. nadleśn. Tadeusz Mejer a do Komisji Rewizyjnej Rektor Uniwersytetu p. Prof. Dr. Niezabitowski, nadleśn. Nowak i nadleśn. Zalewski.

W dyskusji na temat mającej się odbyć wystawy łowieckiej bez sprzeciwu przyjętą została rezolucja p. Górskiego dot. odniesienia się z apelem do członków o materjalną pomoc na urządzenie tejże wystawy, na którą imieniem p. Aleksandra Jonasza z Dańkowa, hodowcy nasion, p. Dyrektor Dybowicz zdeklarował 1500 zł. poczem nastąpił uroczysty moment wręczenia bohaterom-leśnikom nagród za odwagę i spełnienie obowiązku. I tak nagrodzeni zostali za schwytanie kłusowników: medalem, dyplomem oraz kordelasem honorowym leśn. Szczepaniak z fundacji Laski i leśn. Kurkiewicz z nadleśnictwa Kąkolewo. Medal i dyplom otrzymali leśn. Pollok z nadleśnictwa Siedlec, leśn. Józef Chraplewski z maj. Kożuszkowo, podleśn. Muszyński i Borowczyk z dóbr Konarzewskich oryz leśn. Possehn i Koloch z majątku Goraj.

Piękny i bardzo wartościowy pod względem naukowym wykład na temat „Racjonalnej hodowli zwierzyny" wygłosił następnie p. nadleśn. Tadeusz Metzig z Gołąbek. Prelegent poruszył w wykładzie swoim opartym na doświadczeniach swej długoletniej praktyki myśliwskiej sposoby racjonalnej hodowli wszystkich gatunków zwierzyny łownej, znajdującej się w Wielkopolsce. Nadzwyczaj interesujący wykład ten przyjęty został burzą oklasków a treść jego nasycona cennemi wskazówkami starego praktyka-myśliwego posłużyć może każdemu myśliwemu jako vademecum. Niebawem ukaże się praca p. nadleśn. Metziga w drukowanej broszurze, którą polecić można wszystkim początkującym myśliwym jako katechizm myśliwski.

W wolnych głosach dyskutowano na temat zmiany terminów ochronnych dla zwierzyny łownej i tak postanowiło Walne Zebranie zwrócić się przez Zarząd Związku do Ministerstwa Rolnictwa o przedłużenie terminu ochrony 1) dla zajęcy od 1. stycznia do 1. listopada, 2) dla bażantów do 15. września, 3) dla kozłów od 1. listopada i danieli do 1. października.

„Już blisko sadyba Pisanki!" rzekł do króla Zamoyski. „Za chwilę będziemy na miejscu!"

„A jutro... dodał król — jakże się cieszę dniem jutrzejszym! Oby tylko pogoda się uczyniła!"

Minąwszy ostatni zakręt, zobaczyli znakomici podróżni leśniczówkę, a w kilka chwil później stanęli przed domem.

Wybiegł stary, pokłonił się do pasa i ucałował rękę królewską, wyciągniętą przyjaźnie na powitanie. Cieszył się, śmiał i płakał naprzemian z radości. Słów mu brakło. Szeptał tylko, że tury są w ostępie i że króla postawi na „turzem uroczysku", że sam z łajką i naganiaczami zajdzie drogę „dzikim wołom" i napędzi je na króla. Niechże się król Jegomość ubawi!

Na widok króla zapłonęły ogniem lica Justyny. Uklękła przed majestatem jego osoby i ujęła z czcią rękę, by na niej złożyć korny pocałunek. Ukoronowany myśliwy i rycerz bez zmazy podniósł jednak córkę leśniczego i wpatrzył się w twarz jej cudną, a uwolniwszy dłoń z drobnej rączki, posadził pannę na zydlu. „Nie całuj waćpanna, rzekł, raczej nam całować twoją rękę, która jutro spracuje się dla nas!"

* * *

Wstał piękny dzień październikowy. Z za drzew wysokich wypłynęło słońce i odbiło się tysiącem brylantów w kroplach obfitej rosy. Perły jej — to białe, to porpurowe obsiadły gęsto każdą trawkę, każdą szpilkę na jodłach, iskrząc się płomieniem, lub gasnąc nagle, gdy spowite ze sobą, spadały ciężko na ziemię. W powietrzu przeczystem, a mieniącem się barwą opalu i fioletu, była cisza. Z uwielbienia dla króla umilkł bór stary i mądry prawie zupełnie. Wszystko uśmiechać się zdawało do niego, a wysokie jodły i świerki, nie uspokojone jeszcze po nocnym wietrze, nie umiejąc inaczej swej radości wyrazić, pochylały swe gęste czuby w stronę leśniczówki i niby kłaniając się z lekka, witały w ten sposób dostojnego gościa.

Otwarła na oścież swoje podwoje leśna świątynia... Gonne drzewa czyniły gotyckie sklepienia, pod ich kolumnami tłoczyły się niby jej sprzęty domowe, grube graby i buki, a rosnące rzędem sosny formowały długie korytarze. Gdzieś tam w głębi... wznosił się wielki ołtarz, u stóp którego miał król, wielki ofiarnik i kapłan puszczy, jej wielbiciel, znawca i opiekun — odprawić niebawem swoje obrządki.

Coraz głębszą ciszę przerywały tylko krople rosy, spadające z cichym szmerem na zwiędłe liście i miękki mech... C. d. n.

W dalszym ciągu podniesiono sprawę odbytego konkursu wyżłów dowodnych oraz wychodzącego w Warszawie organu Związku „Łowiec Polski“, które to pismo nie stoi jeszcze na wysokości swego zadania. W tej tak ważnej sprawie poleciło Walne Zebranie Zarządowi zwrócić się z interwencją do Centralnego Zarządu a i również do władz o subwencję na podniesienie poziomu głównego organu łowieckiego całej Polski. W dalszym ciągu upoważniono Zarząd do uregulowania sprawy przyjmowania małych kółek myśliwskich, jako jednostek do Związku, poczem prezes solwował zebranie dziękując obecnym za przybycie i okazane zainteresowanie.

W drugim dniu zielonej trzydniówki odbył się na uroczo położonej strzelnicy Bractwa Strzeleckiego w Szelągu premjowy konkurs strzelecki dla leśników państwowych i prywatnych. W zawodach tych zdobyli nagrody: 4 nagrody leśn. Bruno Gramowski, 2 nagrody leśn. Grzechowiak i leśn. Sawarzyński, po jednej nagrodzie leśn. Ostojski, leśn. Alfons Gramowski, leśn. Szablewski i leśn. Derwich.

W trzecim dniu przystąpiono od rana do ogólnego strzelania Związku. Ogółem brało udział w zawodach strzeleckich 28 członków Związku, z których w strzelaniu do rogacza stojącego i biegnącego, jelenia biegnącego i dzika, w strzelaniu o nagrodę kniei Wielkopolskiej i do rzutek zdobyli nagrody: Jan hr. Drohojowski (Małopolska wschodnia) 4 nagrody, Józef Wichliński 3 nagrody, nadleśn. Tadeusz Metzig, Józef Ciążyński i Władysław Kostro po 2 nagrody oraz nadleśn. Wincenty Zaleski, Alfred hr. Mycielski, Wilhelm hr. Hochberg, Tadeusz Jaruszewski, Włodzimierz Bląk i Eugenjusz Minke po jednej nagrodzie.

Zaznaczyć należy, że ufundowany przez pierwszego prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego puhar wędrowny, jako nagrodę w strzelaniu do rzutek, zdobył po raz pierwszy p. Józef Wichliński. Puhar ten stanie się jego własnością o ile w przyszłym roku znowu zdobędzie I. nagrodę w strzelaniu o rzutek.

Do Komisji Sędziowskiej należeli: Zygmunt hr. Kurnatowski jako przewodniczący, Generał Raszewski, Generał Unrug, Ignacy hr. Mielżyński, Dobiesław hr. Kwilecki, p. Władysław Pętkowski, p. Jan Kalkstein, p. nadleśniczy Zaleski, p. Henryk Górski oraz prezes Związku.

Do uświetnienia konkursu przyczyniło się pięknemi premjami dużo ofiarodawców, których życzliwość dla Związku, oraz zrozumienie dla tego tak pożytecznego i niepozbawionego państwowego znaczenia sportu należy podkreślić: Generał Dyw. K. Sosnkowski, Z. hr. Kurnatowski, I. hr. Mielżyński, Generał A. Unrug, J. hr. Drohojowski, dr. St. Dąbrowski, Z. Chłapowski, T. Jaruszewski, H. Górski, J. Pętkowski, K. Chmielewski, W. Bląk, E. Minke, Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, Resursa, Fundacja Rodzinna im. A. Żółtowskiego, Związek Zawodowych Leśników, Warszawska Spółka Myśliwska, Bank Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego, Bank Kwilecki Potocki, Poznański Bank Ziemian oraz fabryka amunicji „Pocisk“, która jako nagrodę dla najlepszych strzelców w rzutkach, strzelających nabojami Pocisk ofiarowała 1000 naboi.

Po skończonych zawodach wręczone zostały uroczyście zdobywcom przez p. hr. Mielżyńską nagrody.

Piękną tą zieloną trzydniówkę Wielkopolskiego Związku Myśliwych zakończono przy wspólnej kolacji w Bazarze, gdzie po toaście na cześć Ministra Rolnictwa w towarzystwie pań i miłym nastroju zabrzmiała również nuta myśliwska.

Uczestnik.



W. J

Oswojony dzik.

Tygodnik francuski, poświęcony sprawom łowiectwa i hodowli psów „L'Éleveur, Revue Cynégétique et Canine“ podaje ciekawy opis, oswojenia dzika, przez pana Valinot, szefa psiarni, „piqueur“ w Vienne.

Zdaniem mojem, opowieść ta mocno trąci łaciną myśliwską, jednakże z uwagi, że ją podaje poważny, myśliwski tygodnik, coby za jej wiarygodnością przemawiało, sądzę, że zaciekawi łaskawych czytelników „Łowca“.

Pan Valinot, polował niedawno, rzecz cała jest najświeższej daty, na czele swej psiarni, na dziki, w gó-

ostępach de l'Ardèche. Po krótkim gonie, dobre psy obsadziły lochę z 8, czy 10 prosiętami. Locha, jak na francuskie stosunki, wiadomo, że tamtejsze dziki, nie dorównują masę naszym „okarom", była niezwykle duża, skoro wyraźnie zaznacza, że ważyła 150 funtów.

Podszedłszy z korzystnym wiatem, ubił ją, a prosiaczki rozprysły się po haszczach. Nie mógł niestety temu przeszkodzić, że rozjuszona psiarnia, cały ten drobiazg dziczy poszarpała. Jednego tylko, ważącego mniej więcej 5 funtów, zdołał wyrwać pokaleczonego, z psiej paszczęki.

Zaniósłszy go do domu, opatrzył, obandażował. ak że dziczek wyleczony, wkrótce pogodził się z lotsem i przywykł do nowego otoczenia.

Skoro trochę podrósł, umieścił go w psiarni. Psy bardzo prędko przyzwyczaiły się do niezwykłego towarzysza, tak że dziś je on już z psami z jednego koryta, we wzorowej zgodzie. Co więcej, że jeżeli się psy ze sobą pogryzą, Jeannot, tak go pan Valinot nazwał, obejmując rolę rozjemcy, rzuca się ze zjeżoną głową między walczących, a rozdzielając hojnie energiczne razy gwizdem, uspakaja przeciwników. Często go wypuszczają z piarni na spacer, co Jeannot bardzo lubi, składa bowiem wtedy wizyty w sąsiedztwie, gdzie go darzą rozmaitemi smakołykami, lub idzie w łąki i tam ryje sobie dowoli, szukając za robactwem i korzonkami.

Z prawdziwą pasją biegnie za rowerem swego pana, i bez względu na szybkość, z jaką tenże jedzie, Jeannot wytrzymuje każde tempo i trzyma się wytrwale przy tylnem kole.

Na spacerach pieszych po lasach, kazał go nieraz pan Valinot, przytrzymywać, poczem sam odchodził na aki kilometer i więcej wgłąb lasu, umyślnie klucząc i zacierając swe ślady. Jeannot wypuszczony szukał pana swego zawzięcie, a raz wpadłszy na trop, zawsze go odnajdywał, i wtedy szalał z radości, że odnalazł ukochanego pana.

Z czasem przywykł chodzić wraz z psiarnią. Z początku na spacery tylko i prace ćwiczebne, potem nawet w czasie polowania. Dziś wraz ze swymi niesamowitymi towarzyszami, bierze udział w łowach, nawet na swych dzikich pobratymców.

Biegnie zawsze z tyłu za psami. Gdy te chwilowo straciwszy trop, rozbiegną się i szukają, węsząc, Jeannot zatrzymuje się i czeka, lub kładzie się w najbliższej kałuży, na tak długo jednak tylko, póki psy tropu nie odszukają i głosu nie dadzą. Wtedy zrywa się i biegnie za rozpędzoną zgrają.

Jeannota znają wszyscy w pobliskiem miasteczku Vienne, departamentu Isère. Często się tam wraz z panem Valinot, przechadza po ładnych ulicach, zręcznie wymija pędzące auta, zawsze otoczony gromadą uliczników, biorąc od nich, podawane mu obficie pszysmaki. Jeżeli go jaki obcy pies napadnie, Jeannot bezzwłocznie „szarżuje", przewracając niechybnie największe nawet brytany.

Waga jego niewielka, zaledwo 40 kilogramów.

Choć na polowaniach, Jeannot trzyma się zawsze z tyłu za psami, lub w ich najbliższem sąsiedztwie, to ednak dla uniknięcia przykrej, zawsze możliwej pomyłki ze strony myśliwych, zaopatruje go właściciel na czas polowania w dzwonek.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W PUSTYNIACH TURKIESTANU
1902 R.
(Z ŻYCIA AZJATY)

Ciąg dalszy

Nie żałowałem jednak nigdy mego pobytu w tym górzystym Kopet-Dagu, krajobrazy, sceny z życia mieszkańców tych wyżyn, pozostawiły w mej pamięci niezatarte wrażenie. Stoją mi przed oczyma te gromady rogatych, brodatych zwierząt, pasących się na rozległych pochyłościach płaskowyżu dalekiego, te swawolące z sobą w zręcznych podskokach, malownicze grupy koźląt i jagniąt. Daremnie usiłowałbym wyrazić i opisać czytelnikowi dość jasno ten wspaniały, pełny prawdziwego zachwytu i uroku widok spłoszonego stada tych rogatych zwierząt, biegnącego z błyskawiczną szybkością po ostrych kantach skał, wiszących nad bezdenną przepaścią, przesadzającego szerokie rozpadliny, lub rzucającego się na złamanie karku z wysokości w przepaście, a skąd, jak myśl szybko, znów pojawiają się na jeszcze wyższych, jeszcze ostrzejszych i więcej zębatych wyniosłościach! A ileż to razy przed osłupiałym myśliwym staje nagle, jak z pod ziemi wyrosły, taki rogal brodaty na krańcu granitu, na którym bodaj czy orzeł mógłby się utrzymać, a nim go myśliwy zdąży wziąć na cel, już znikł mu z widowni, jak zjawisko jakie.

Koziorożce (*capra sibirica*) tych gór Kopet-Dagu, jak i barany (*ovis karelini*, różniące się od pamirskich

Poli i Argali mniej skręconemi rogami), są zwierzętami stadnemi, lubiącemi życie towarzyskie, zbierają się w stada nie rzadko po kilkadziesiąt, a nawet kilkaset sztuk, jak to ma miejsce w czasie ich rui, przypadającej na koniec października i cały listopad. W tym czasie stada wykazują niepokój są nader ruchliwe, przenoszą się często z miejsca na miejsce, odbywają dalekie przemarsze. Trzymające się dotąd na najwyższych szczytach gór samce zdala od stada, zwabione ostrym zapachem piżmowym, jakie wydaje w czasie rui stado, schodzą w niższe regjony i łączą się z niem. Samce są w tym czasie weselnym podrażnione, bardzo wojowniczego nastroju, szukają między sobą zaczepki i wszczynają zapalczywe walki, nierzadko kończące się pokaleczeniem, a nawet śmiercią zwyciężonego rywala. Odgłos podobnych bójek baranich, rozbijających sobie wzajemnie łby, według słów tamtejszych myśliwych, dają się w tym czasie wszędzie w górach słyszeć i podobne są do stuku i odgłosów młotów kowalskich. O ile baran swą brutalną siłą chamską, z rozpędu rozbija twardy łeb rywalowi, koziorożec wspięty na tylne nogi w grackim skoku bocznym, uderza rogami w rogi przeciwnika, nie przyczyniając mu wielkiej szkody.

Niesłusznem byłoby też zastosować tak utartego u nas przysłowia „o głupocie barana“ do górskiego tego zwierzęcia, gdyż jego rozum, rozwaga i roztropność, jaką wykazuje w obieraniu noclegów, przeprowadzaniu stad na pastwiska, są godne uznania i podziwu.

Taki brodacz stary, prowadzący ze sobą stado, poprzedza je o kilkaset kroków, idzie wolno i uważnie przepatruje okolice, ostrożnie zbliża się do grzbietu ściany, przez którą przejść musi, a nie zauważywszy najmniejszego niebezpieczeństwa, dopiero je przestępuje, a za nim idący drugi wywiadowca łącznikowy, już śmiało prowadzi całą czeredę. W razie jakiegoś niebezpieczeństwa, najmniejszej podejżliwości, forpocztowy daje ostrym świstem sygnał i stado razem z prowodyrami, jak pod ziemię zapada. (Barany wydają świst podobny do głosu kozic).

Na noc stado nie pozostaje na odkrytem pastwisku, gdzieby je mógł zaskoczyć nocny rabuś, wilk, bars, pantera lub tygrys. Baran wybiera na nocleg dla stada zaciszne, ustronne pochyłe mocno miejsce, grubym żwirem i kamykami usiane, po których nawet lekki chód i stąpanie większego kota, powoduje ostry szelest i szumne staczanie się w dół kamieni, ostrzegając swym szelestem stado o bliskiem niebezpieczeństwie. Stado jest zawsze tak w dzień jak i w nocy pilnie strzeżone przez jednego osobnika, bądź barana, lub starą matkę, która na najwyższem, panującem nad okolicą wzniesieniu, stoi tyłem do stada, zwrócona łebkiem w przeciwnym kierunku. W jakim czasie i jak często zmieniają się te zwierzęce posterunki, nie zdołałem się dowiedzieć.

Ostatnie chwile mego pobytu w Kopet-Dagu zużyłem na zwiedzanie jego osobliwości. Jest nią przedewszystkiem starożytna droga, łącząca niegdyś dolinę Turkiestańską z posiadłościami Persji, a prowadząca przez grzbiet górski Ucz-Tany do Teheranu. Na całej tej drodze, w wiorstowych od siebie odstępach, stoją kamienne słupy, wysokości małego człowieka, od czego też zapewne noszą nazwę „malczyków“. Na każdym z nich nieczytelne hieroglify.

Rozwaliny, fortece, z obronnemi strzelnicami, gdzieniegdzie jeszcze wyraźnie występujące, mogą świadczyć o ważności tego szlaku w zamierzchłej przeszłości. Wylot tego traktu strzegą dwie, wysokie na kilka pięter ściany granitowe, pomiędzy któremi zaś na środku wznosi się samotna, okrągła skała, na wierzchu której pozostały jeszcze warowne mury ze strzelnicami wokoło. Są to drugie Termopile, gdzie garstka mężnych bohaterów mogła stawić czoło całym armjom najeźdcy. Nawet przy nowoczesnej broni, warownia ta mogłaby nieprzyjacielowi zrobić pewną dystrakcję i chwilowo powstrzymać pochód wojsk.

Na całem podnóżu, w pewnem od siebie oddaleniu, pozostały jeszcze dotąd glinobitne, okragłe wieżyce, z wąskiemi szczelinami okien i górnemi strzelnicami. Służyły one kiegdyś za schroniska dla ludu pracującego na dawnych plantacjach waty, w czasie nagłych napadów rozbójniczych hord sąsiednich Kurdów i Afganów.

C. d. n.



Notatki bibljograficzne.

J. O. Curwood. Łowcy wilków (The Wolf Hunters). Przekład Jerzego Marlicza. Nakładem Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

Znany nam już autor „Władcy skalnej doliny“ wyrzucił z pod swego mistrzowskiego pióra znów klejnocik myśliwski na tle bezbrzeżnych, zaśnieżonych puszcz północnej Kanady. Wśród dzikiej przyrody snuje on swą powieść niezmiernie ciekawą, pełną myśliwskich epizodów i walk z dzikiem i wrogiem plemieniem Indjan. Książkę czyta się jednym tchem, z nieustającem zainteresowaniem.

A. M.

Sprostowania

W numerze 16. „Łowca" na str. 254 w artykule „W pustyniach Turkiestanu" w 8. wierszu z góry, prostuje się nazwę miejscowości na Leńkorań.

W numerze 19. „Łowca" w art. „Prawo łowieckie" Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie, str. 304, kol. 2. na końcu wiersza 1. od góry — dodać: „to połączenie takie obwodów".

Z Wydawnictw.

„Łowiec Polski" Nr. 25. zawiera:

Maurycy Potocki: Garść wspomnień; Zygmunt Dulewski: Projekt racjonalnej hodowli jeleni w Polsce w celu eksploatacji i eksportu rogów do Chin; A. W.: Ogólne Zasady hodowli zwierzyny; E. F: Jakie uwagi z dziedziny tajemnic przyrody nasunęły ostatnie wiosenne próby psów polowych?; Wł. Słonczyński: Z dziedziny sportu strzeleckiego; Janusz Domaniewski: Przegląd naszych ptaków drapieżnych; Warszawski ogród zoologiczny. Z żałobnej karty. Z Centr. Zw. P. St. Łow. Wiadomości bieżące. Zawody strzeleckie. Wiadomości zagraniczne.

Nr. 26.

Juljan Ejsmond: Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział (Bajka); Pierwsze w Polsce wiosenne próby polowe psów myśliwskich: sędziowie Bielawski, Horodecki, Stolarow; A. W.: Ogólne zasady hodowli zwierzyny; Polski Instytut Łowiecki: Dyrektor S. Kamocki; St. Rousseau: Jeszcze o lunecie na broni myśliwskiej; Europejskie znaczenie naszej nowej ustawy łowieckiej; J. O.: Przegląd prasy zagranicznej. Wolna trybuna: „Strzał na komorę" (Juljan Ejsmond). Z Centr. Związku Polskich Stowarzyszeń Łow. Wiadomości bieżące. Wiadomości handlowe. Zawody strzeleckie. Wiadomości zagraniczne.

Nr. 27.

Edward Niedziałkowski: Mój pies; Jerzy Odrowąż-Pieniążek: Ekspedycja naukowo-myśliwska Czesława Odrowąża-Pieniążka do Abisynji; Jan Bończa Markowski: Z pamiętnika młodego myśliwego. Regulamin Wystawy Tow. Hodowli psów myśliwskich; Adam Rzewuski: Przegląd prasy sowieckiej; J. Żarnowski: Stosunki łowieckie w powiecie starogardzkim. Z żałobnej karty. Z Towarzystw Myśliwskich. Wiadomości bieżące. Wiadomości handlowe. Zawody strzeleckie. Wiadomości zagraniczne.

Nr. 28.

W. D.: Na rogacza; Michał Pawlikowski: Na marginesie komentarzy do prawa łowieckiego; Władysław Włodzimierz Garczyński: Czy pies myśliwski może zwietrzyć kuropatwę w okresie lęgowym?; Jan Żarnowski: Bąk (szkic przyrodniczy); J. Wł. Kobylański-Plagi i choroby wrogami użytecznej zwierzyny łownej; J. O.: Przegląd prasy zagranicznej. Ochrona przyrody w Wielkopolsce i na Pomorzu. Korespondencje. Z Centr. Zw. P. St. Łow. Wiadomości bieżące. Bibljografja łowiecka. Kronika myśliwska. Zawody strzeleckie. Wiadomości zagraniczne.

Nr. 29.

Z Centr. Zw. P. St. Łow. (Protokół). W. S.: Delegaci powiatowi a organizowanie Towarzystw wojewódzkich; Adam Rzewuski: Epilog polowania na niedźwiedzie; Wł. Horodecki: Jeszcze kilka słów o wiosennych próbach polowych psów myśliwskich; J. O.: Przegląd prasy zagranicznej; Jerzy Oreński: Bibljografja prac ś. p. Jana Sztolcmana. Z Centr. Zw. P. St. Łow. Wiadomości bieżące. Zawody strzeleckie.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) dla Małopolski.

(Ciemne po'a oznaczają czas ochrony)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny-kozły		■	■	▌20								
Zające-szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki*)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce-koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie-koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie i kury.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.